

Nowa powieść autorki *Ósmego życia (dla Brilki)*



NINO HARATISCHWILI

Coraz mniej
światła



NINO HARATISCHWILI

Coraz mniej
światła

TŁUMACZENIE IRENA DĘBEK

Tytuł oryginału: *Das mangelnde Licht*

© Frankfurter Verlagsanstalt GmbH, Frankfurt am Main 2022

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2022

Copyright © for the translation by Irena Dębek

Tłumaczenie wiersza *Demain dès l'aube*: Eliza Kasprzak-Kozikowska

Wydawca prowadzący: Ewelina Tondys

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Przyjęcie tłumaczenia, adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Magda Kuc (front), Monika Drobnik-Słocińska

Ilustracje na okładce: portret kobiety – Sarah Jarrett / Arcangel,
widok Tbilisi – Ozbalci / iStock by Getty Images

ISBN 978-83-8135-227-7



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Dla
Sandro (1977–2014)*

i

*Leli (1976–2015),
kochanków z Tbilisi,*

oraz dla

Tatuli, z którą uczyłam się przyjaźni

JEDEN: MY

*Tak bardzo przywykłem do śmierci
Aż dziw, że sam jeszcze żyję.*

*Tak bardzo przywykłem do duchów
Że rozpoznaję ich ślady na śniegu.*

*Tak bardzo przywykłem do żałoby
Że topię swoje wiersze we łzach.*

*Tak bardzo przywykłem do ciemności
Że światło byłoby dla mnie udręką.*

*Tak bardzo przywykłem do śmierci
Aż dziw, że sam jeszcze żyję.*

Terenti Graneli

TBILISI, 1987

Wieczorne światło połyskiwało w jej włosach. Na pewno da radę, już za chwilę pokona i tę przeszkodę, będzie napierać całym ciałem na ogrodzenie, aż siatka pod jej ciężarem zacznie stawiać coraz słabszy opór, leciutko zaskrzypi i w końcu puści. Tak, pokona tę barierę nie tylko dla siebie, ale także dla nas, swoich trzech nieodłącznych towarzyszek, utoruje nam drogę ku wielkiej przygodzie.

Na ułamek sekundy wstrzymałam oddech. Szeroko otwartymi oczami wpatrywałyśmy się w przyjaciółkę stojącą na granicy dwóch światów. Jedna stopa Diny pozostawała wciąż na chodniku przy ulicy Engelsa, druga unosiła się już nad pogrążonym w ciemnościach terenem ogrodu botanicznego, zawieszona między tym, co dozwolone, a tym, co zakazane, pomiędzy dreszczykiem, jaki wywołuje nieznane, a monotonią tego, co znajome, między ryzykiem a bezpieczną drogą do domu. Dina, najodważniejsza z całej czwórki, otwierała przed nami tajemniczy świat. Tylko ona mogła umożliwić nam do niego dostęp, gdyż płoty, kraty czy siatki nie miały

dla niej żadnego znaczenia. Dina, której życie w ostatnim roku tego ołowianego, chorego i ledwo dyszącego stulecia miało zakończyć się na stryczku, skleconym naprędce z linki od pierścienia gimnastycznego.

Ale tamtego wieczoru, na wiele lat przed tą nieprzeczuwaną śmiercią, rozpiekało mnie jakieś przemożne uczucie, którego nie potrafiłam dokładnie zidentyfikować. Dzisiaj nazwałabym je pewnie euforią, niespodziewanym prezentem od losu, maleńką szczeliną, która w ohydnej codzienności, w całym tym ciężkim życiowym mozole, otwiera się nadzwyczaj rzadko i pozwala domyślać się, że za tą arcywzyczajnością kryje się coś więcej, jeśli tylko człowiek dopuści to coś do głosu, uwolni się od przymusu, narzuconych wzorców i zrobi ten decydujący krok. Już wtedy, nie zdając sobie do końca z tego sprawy, przeczuwałam, że ten moment na zawsze utkwii mi w pamięci i z czasem zamieni się w symbol szczęścia. Czułam, że to jest jakaś magiczna chwila, ale nie dlatego, że wydarzyło się wtedy coś nadzwyczajnego, lecz ze względu na niezniszczalną siłę, jaką dawała nam nasza więź, wspólnota, która nie cofnie się przed żadnym wyzwaniem.

Wstrzymałam oddech i obserwowałam, jak Dina z tym swoim rozbawionym i triumfalnym wyrazem twarzy przedostaje się przez siatkę na teren ogrodu. Wtedy i ja poczułam się jak władczyni wszelakiego szczęścia i wszelkiej radości, jak królowa wszystkich śmiałków, ponieważ przez chwilę byłam nią, Diną, moją szaloną i odważną przyjaciółką Diną. Ale nie tylko ja, dwie pozostałe dziewczyny też stały się Diną, łączyło je poczucie wolności kryjące w sobie tyle obietnic, bo przecież za tymi zardzewiałymi drutami cały świat czekał tylko na to, żeby go odkryć i zawojować – świat, który pragnął lec nam u stóp.

Podeszłyśmy do starego ogrodzenia i podziwialiśmy cud, którego dokonała, a ona patrzyła na nas z dumą, jakby oczeki-

wała oklasków i wyrazów uznania, bo przecież mimo naszych wątpliwości okazało się, że miała rację, ponieważ ten przeżarty rdzą kawałek siatki przy ulicy Engelsa był idealną służą, przez którą mogliśmy się przedostać i rozpocząć naszą wielką i od dawna wyczekiwaną przygodę.

– No, idziecie czy nie? – zawołała z tamtej strony, na co jedna z nas, już nie pamiętam która, przyłożyła palec wskazujący do zaciśniętych ust i szepnęła zaniepokojona: „Pst!”.

Samotna latarnia stojąca po drugiej stronie ulicy rzucała światło na twarz Diny, na obu policzkach widać było ślady rdzy. Zrobiłam pierwszy krok, podniosłam energicznie prawą nogę, starając się pokonać strach i zdenerwowanie – trudno powiedzieć, co przeważało. Otarłam się o Dinę, która z całych sił odciągała mi siatkę, zaczepiłam włosami o jakąś poskręcaną i wystającą bez sensu drucianą pętlę, ale udało mi się z niej oswobodzić i wgramoliłam się na dziedziniec. Dina pokiwała z uznaniem głową i nagrodziła mnie szelmowskim uśmiechem. Zachęcona zaliczoną właśnie próbą odwagi zawołałam do ociągających się dziewczyn, żeby się pospieszyły. Stałam się teraz częścią świata Diny, świata przygód i tajemnic, teraz i ja mogłam mieć na twarzy uśmiech samozadowolenia.

Wydawało mi się, że słyszę bicie serca Nene, że jego dźwięk niesie się aż po wejście do tunelu, które rozwierało się przed nami niczym szeroka ziewająca paszcza wołająca: „No, pewnie wam się zdaje, że pokonałyście już cały swój strach i zaszłyście tak daleko, ale prawdziwe potworności dopiero przed wami, bo jeszcze ja tu jestem, w całej swojej ponurej betonowej krasie, z mnóstwem szczurów, że nie wspomnę o niebezpiecznych ciekach wodnych i przeraźliwych odgłosach”.

Odwrociłam wzrok od czarnej betonowej dziury i skupiłam się tylko na tym, żeby jakoś wciągnąć Nene i Irę na teren ogrodu. Zaczynający właśnie padać deszcz nie dodawał

mi otuchy, mimo to starałam się rozwiewać wszelkie obawy przed czekającą nas długą drogą do właściwego celu.

Przejechał jakiś samochód. Nene skuliła się instynktownie. Dina zaczęła się śmiać.

– Pewnie myśli, że wuj już jej szuka i jak jej zaraz nie znajdzie, to wyśle za nią swoje hieny.

– Przestań ją jeszcze bardziej straszyć! – upomniała Dinę Ira, najbardziej rozsądna i pragmatyczna z całej naszej czwórki, członkini klubu szachowego w Pałacu Pionierów i laureatka przedostatniego transkaukaskiego konkursu „Co? Gdzie? Kiedy?” dla szkolnych drużyn młodzieżowych.

– Nene, chodź, zrobimy to razem! – powiedziała spokojnym, łagodnym, ale kategorycznym tonem i chwyciła Nene za drżącą, stale spoconą rękę. Potem zaczęła przepychać jej wiotki i miękki tułów przez szczelinę w siatce, którą przytrzymywaliśmy z Diną.

Gdy Nene przecisnęła się w końcu na drugą stronę, Ira ruszyła za nią.

– Udało się! I co, było się czego bać, mięczaki? – krzyknęła triumfalnie Dina, po czym puściła siatkę, a ta zachrzęściła żałośnie i kołysząc się, zaczęła się ściągać, aż w końcu, powróciwszy do stanu pierwotnego, znieruchomiała.

– Dostaniemy burę, zobaczycie – przestrzegała Ira, ale jej głos nie brzmiał już tak kategorycznie, bo ją także ogarnęła euforia, więc starała się nie dopuszczać do siebie lęku i myśli o kłopotach, których sobie niechybnie przysporzymy tą nocną eskapadą. Potem spojrzała zamyślona w niebo, jakby szukała tam mapy przydatnej podczas czekającej nas wędrówki. Wielka kropla deszczu spadła jej na okulary.

Gdy tego dnia po południu wróciłam nieco później z korepetycji z matmy, na które nalegał mój ojciec i które, rzecz jasna, musiałam pobierać u jednego z zaprzyjaźnionych profesorów (bo wszyscy przyjaciele ojca byli albo profesorami, albo naukowcami), Dina czekała już na mnie w naszej

kuchni. Pod pretekstem wspólnego odrabiania pracy domowej chciałyśmy jeszcze raz omówić nasz plan ucieczki. Ira i Nene zamierzały dołączyć do nas później, Ira miała jeszcze lekcję gry w szachy, a Nene musiała podjąć jakieś „środki ostrożności”, żeby móc wieczorem wyjść z domu.

Dina wyciągnęła z nieco sfatygowanego już plecaka ogromną latarkę, czym wprowadziła nas w lekkie osłupienie.

– Coś wam to przypomina? – zapytała, uśmiechając się szeroko. – Tak, to latarka Beso, ale jestem pewna, że nawet nie zauważy, że zniknęła, jutro od razu mu ją odniesiemy.

Beso był woźnym w naszej szkole i nie mogłam wyjść z podziwu, jak Dinie udało się mu ją wykraść. Nene zaśmiała się głośno i ruszyła pędem w stronę ciemnego tunelu, jak gdyby śmiech dodał jej energii. Wszystkie trzy spojrzałyśmy na nią zaskoczone, bo zawsze była z nas najwolniejsza. Ostrożność Nene wynikała z jej sytuacji w rodzinie, zdominowanej przez wuję, wszechwładnego i wszechobecnego tyrana, którego u nas w domu nazywaliśmy, przesłaniając usta rękami, „człowiekiem z równoległego świata”. W zasadzie lekkomyślne, wręcz naiwne i nadzwyczaj pogodne usposobienie Nene pozostawało w całkowitej sprzeczności z żelazną hierarchią panującą w jej domu, gdzie rządzą mężczyźni, a kobiety musiały bez oporu poddawać się patriarchalnej strukturze. Ale na szczęście Nene była radosna z natury, jej siły i energii życiowej nie można było stłumić ani groźbami, ani karą.

Ira wytarła okulary o białe fartuszek będący częścią szkolnego mundurka, choć trzeba przyznać, że po sfinansowaniu zardzewiałej siatki nie był już tak nieprzyzwoicie biały jak zawsze. Matka Iry codziennie go prała, krochmiła i prasowała, a następnie starannie zawiązywała córce z tyłu niczym gorset i podczas gdy u nas kokarda w ciągu dnia się luzowała, a fartuszek przesuwiał się na bok, u Iry przez cały dzień

wszystko trwało wzorowo na swoim miejscu, jakby musiała być zawsze w pogotowiu na wypadek, gdyby w szkole zjawiał się nagle fotograf poszukujący idealnego dziecka na pierwszą stronę „Komsomolskiej Prawdy”.

Wreszcie Ira ruszyła za Nene. O ile dobrze sobie przypominam, Nene była jedyną osobą, dla której Ira była gotowa w mgnieniu oka porzucić swoje zdyscyplinowanie, pragmatyzm i trzeźwość umysłu. Fakt, że Ira w ogóle wzięła udział w naszej późnowieczornej i do tego bardzo nierozsądnej wyprawie do ogrodu botanicznego, też należy zawdzięczać spontanicznej decyzji Nene. Nigdy nie sądziłyśmy, że nasza przyjaciółka tak łatwo pokona strach przed rodziną, a także wrodzone niezdecydowanie, i zgodzi się na naszą propozycję. Gdy podczas długiej przerwy na szkolnym podwórku pośród wrzasków rozbieganych dzieciaków Nene obwieściła nam, że „oczywiście trzyma z nami”, spojrzaliśmy na siebie z niedowierzaniem, co sprawiło, że przez kolejnych piętnaście minut grała obrażoną księżniczkę, czyli jedną ze swoich ulubionych ról. Każda próba Iry, by odwieść przyjaciółkę od „głupiego pomysłu”, kończyła się fiaskiem, więc Irze nie pozostawało nic innego jak, zacisnąwszy zęby, również wyrazić zgodę na tę wyprawę.

Z jakiegoś zupełnie dla nas niezrozumiałego powodu Nene od samego początku wzbudzała w rozważnej Irze instynkt opiekuńczy. Zawsze trzymała silną, dyscyplinującą, ochronną rękę nad podatną na pokusy, impulsywną i sterowaną emocjami głową Nene, jakby w każdej chwili spodziewała się, że ta zrobi coś nierozważnego, a wtedy chciała być przy niej – gotowa do każdej walki. Więc teraz pobiegła, żeby jej towarzyszyć, gdy zanurzy się w obezwładniających ciemnościach tunelu. Deszcz padał coraz mocniej. Zarzuciłam plecak na ramię i także ruszyłam biegiem przed siebie. Dina dołączyła do mnie i nie wiem dlaczego obie równocześnie zaczęłyśmy się śmiać. Może skłoniła nas do tego świadomość, że gdzieś

niedaleko czeka na nas szczęście. Szczęście, które miało smak niedojrzałych śliwek, letniego deszczu pachnącego kurzem, młodszej ekscytacji i niepewności, a także wielu oprószonych cukrem pudrem przeczuć.

BRUKSELA, 2019

Niepewnie wchodzę do wytwornej sali z parkietem ułożonym w jodełkę, zostawiając za sobą wiosenne światło późnego popołudnia. W tym momencie zapalają się reflektory, wydając brzęczący dźwięk. Oświetlenie jest w porządku, stwierdzam natychmiast z ulgą. Jej zdjęcia potrzebują specjalnego światła, tajemniczego, wręcz powściągliwego, jakby lekko zawstydzonego oświetlenia, które wydobywa kunszt artystki, podkreśla zdecydowaną czerń i biel jej fotografii, ich klarowny przekaz i ewidentność, które nie potrzebują krzykliwej jaskrawości, przemawiają do odbiorcy także z półcienia i potrafią świecić w mroku. Oddycham głęboko. Jestem pod wrażeniem obu wielkich niczym hale pomieszczeń płynnie przechodzących jedno w drugie, to prawdziwa retrospektywa. Zgromadzono tu mnóstwo jej fotografii, są wśród nich te słynne i ikoniczne, ale także mniej znane i trzymane do tej pory w szufladzie. Wiszą teraz tu, w tym obcym i ciekawym wszystkim mieście pełnym secesyjnych kamienic, zatłoczonych kafejek i barów, mieście, które pełni funkcję metropolii, ale broni się przed takim wizerunkiem, zachowując w sobie coś przytulnego, coś z klimatu małego miasteczka.

Spędziłam tu przed laty wiele lekkomyślnych i beztroskich chwil. Kiedyś nawet byłam w tym budynku, szacownym i modnym Centrum Sztuk Pięknych, Norin zabrał mnie tu ze sobą, z tego, co pamiętam, byliśmy na projekcji jakiegoś odjechanego azjatyckiego filmu, podczas którego cały czas

chichotaliśmy, a na koniec dnia upiliśmy się pienistym belgijskim piwem. Wspomnień z tego miasta mam tyle, że grzeją mnie od środka do dziś, takie słoneczko, które w razie potrzeby można w każdej chwili zapalić. Norin i ja pracowaliśmy wtedy w piwnicach Królewskiego Muzeum i byliśmy strasznie dumni, że możemy wykazać się umiejętnościami w tak elitarnym miejscu – powierzono nam, nowicjuszom, maski Ensora, więc nie posiadaliśmy się ze szczęścia. Po pracy korzystaliśmy z nocnego życia miasta, które przyjmowało nas z otwartymi ramionami, opowiadaliśmy sobie różne historie i w końcu zbliżyliśmy się do siebie. Kiedy to było, myślę sobie i w zadumie przemierzam puste jeszcze sale obwieszone znajomymi fotografiami. Wyglądają tu obco, jakoś inaczej, tak że zaczynam odczuwać dziwną zazdrość, jakby to miejsce odbierało mi mój boleśnie intymny stosunek do tych zdjęć, ponieważ za nieco więcej niż godzinę te dwa pomieszczenia zapełnią się grupą ekskluzywnych gości, utworzy się długa kolejka zwiedzających, wybrańcy zaproszeni na otwarcie wystawy zaczną się pozdrawiać i z zaangażowaniem prowadzić rozmowy w różnych językach, będą kosztować gruzińskiego wina i wysłuchiwać mów powitalnych. A ja zobaczę po latach dwie osoby, które – oprócz nieżyjącej fotografi, z powodu której się tu zbieramy – odcisnęły na mnie największe piętno, zniszczyły mnie, nasyciły moje dni szczęściem i nieszczęściem. Dwie kobiety, dziś już w średnim wieku, których nie widziałam od lat, a które mimo to snują się za mną jak cień, niezależnie od tego, dokąd zmierzam.

Wciąż wędruję od zdjęcia do zdjęcia, usiłuję jednak nie nawiązywać z nimi zbyt bliskiego kontaktu wzrokowego, żeby twarze z przeszłości tylko przelotnie migały mi przed oczyma. Staram się im umknąć, właściwie to mogłabym jeszcze stąd wyjść, uciec, tak, może rzeczywiście powinnam zrobić w tył

zwrot, może to był błąd, że w ogóle tu przyszedłam, akt, który najwyraźniej wymaga ode mnie zbyt wiele, przekracza moje siły. Każdy to zrozumie. Wyjaśnię to Anano, która zwołała tutaj nas wszystkie i nie chciała słyszeć o żadnej odmowie, która nakłoniła mnie to tego, żeby wsiąść do samolotu i przylecieć tu, do Brukseli, załatwiła mi wejściówkę dla VIP-ów, dzięki czemu mogłam wejść do tej sali jako *special guest* na godzinę przed otwarciem wystawy. Która zaklinała mnie przez telefon: „Musisz przyjechać. Wszystkie trzy musicie tu być, nie przyjmuję do wiadomości żadnych wymówek”. Może mogłabym jeszcze opuścić ten wernisaż, cofnąć film, bo nie jestem pewna, czy to wszystko, co tego wieczoru runie na mnie jak lawina, zniosę bez szwanku. Tak długo walczyłam o swoje poczucie bezpieczeństwa, wręcz z wojskową dyscypliną wybijałam sobie z głowy przeszłość, a teraz idę przez te muzealne sale, moje kroki odbijają się subtelnym echem, przemierzam ponadwymiarowe wytworne przestrzenie i robię wszystko, żeby odpędzić wspomnienia, które rzucają się na mnie jak wygłodniałe małpy.

Ale czy nie przyjechałam tutaj, żeby uszanować jej ostatnią wolę? A to oznacza, że muszę stawić temu wszystkiemu czoła. Nie tylko ja to wiem, one obie też to wiedzą i dlatego zjawiamy się tutaj, mimo resentymentów i wątpliwości, i nie zważamy na to, co było. Jesteśmy to winne jej i sobie nawzajem, musimy jakoś znieść to ponowne spotkanie i wszystkich, którzy kiedyś byli z nami. Którzy teraz patrzą na nas ze ścian i żądają ofiary. Czy również dlatego przyjeżdżamy tu same? Nie wiem tego, lecz zakładam, że każda z nas przyleciała do Brukseli bez osób towarzyszących – bez swoich partnerów, bez dzieci, bez przyjaciół, którzy mogliby nasze spotkanie po latach uczynić łatwiejszym.

Na razie jednak jestem tu sama, jeszcze mogłabym uciec. Nawet jeśli bym to zrobiła, to co? Niech sobie strzępią języki z powodu tego tchórzostwa, proszę bardzo, jakie to ma

znaczenie? Skoro byłby to mój jedyny ratunek. Nagle zatrzymuję wzrok na małoformatowym zdjęciu w prostej ramie pod intrygująco cienką świetlówką. Dlaczego ta fotografia wisi samotnie na wielkiej ścianie jak sierota? Inne, jeśli dobrze widzę, wiszą seriami, ale ta tutaj stanowi wyjątek i im bardziej się do niej zbliżam, tym lepiej pojmuję jej funkcję: to jedyne zdjęcie, które wprawdzie przedstawia artystkę, ale nie zostało wykonane przez nią samą. Inne fotografie, na których widnieje, są bez wyjątku autoportretami, to artystycznie ambitne, prowokujące, obnażające aż do granic wytrzymałości ujęcia, które w swego rodzaju wiwisekcji wyciągają na wierzch głęboko ukryte wnętrza. Takich zdjęć będzie tutaj niemało, jestem tego pewna. Ale w przypadku tego stosunkowo małego obrazu nie chodzi o dzieło sztuki, nawet jako zdjęcie amatorskie trudno uznać je za udane, ale jest w nim coś, co wywołuje na plecach dreszcz i sprawia, że na chwilę wstrzymuję oddech.

Fotografia przedstawia naszą czwórkę, pokazuje tę wersję nas, z której się wywodzimy, coś w rodzaju źródła, jaja, z którego razem się wykluliśmy. Stoimy u progu życia, na początku naszej przyjaźni, która tak wiele będzie nas kosztować, ale jeszcze nic o tym nie wiemy, jeszcze nie znamy tej karty, którą przydzielili nam życie, ta partyjka jeszcze się nie zaczęła, jeszcze możemy być wolne, możemy wszystkiego pragnąć i o wszystkim marzyć.

To zdjęcie, które ma służyć jako swego rodzaju prolog wystawy, nie nosi tak typowego dla niej chwytliwego tytułu, jest opatrzone jedynie informacją o miejscu i roku wykonania: „Tbilisi, 1987”. Stoję jak zahipnotyzowana, nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca, a obrazy zaczynają zalewać mi głowę, nie mam wyjścia, muszę poddać się ich nurtowi, nie ma sensu walczyć z czymś, co jest jak żywioł. Czuję się bezradna, znów jestem dzieckiem, jestem tą dziewczynką, która patrzy teraz na mnie ze zdjęcia. Im dłużej przyglądam się

czarno-białej odbitce, stojąc sama ze sobą w majestatycznej sali, tym bardziej jestem pewna, że chodzi dokładnie o ten dzień, gdy włamałyśmy się do ogrodu botanicznego, o ten wyjątkowy moment, w którym po raz pierwszy w życiu poczułam się szczęśliwa, czułam szczęście na wewnętrznych stronach dłoni, pod kolanami, w pępku i na rzęsach. Dziwię się tylko, dlaczego akurat to zdjęcie zostało wybrane jako symboliczny początek. Anano, siostra artystki zarządzająca jej spuścizną, jest konsultantką tej wystawy, o czym miesiąc temu osobiście poinformowała mnie z dumą przez telefon. To ona musiała podjąć tę decyzję. Czyżby wiedziała o wyjątkowości tego dnia? Czy siostra opowiedziała jej o wszystkim?

Równie dziwny wydaje mi się fakt, że ta fotografia, jak sobie teraz przypominam, została wykonana u nas w domu, i to przez mojego ojca, który właściwie nigdy nie robił nam zdjęć, co najwyżej zabierał mnie i brata na obowiązkowe sesje do zakładu fotograficznego. Jednak tamtego dnia z jakiegoś powodu zastał nas w kuchni i od razu chwycił za aparat fotograficzny. Ale nie po znienawidzoną leicę mamy, leica leżała jeszcze wtedy w swojej ciemnej kryjówce u ojca w pokoju, to był pewnie lubitel albo smiena*, stary aparat moich babć, w którym akurat przypadkowo znajdował się film. Zdjęcie przedstawia nas, cztery dziewczyny w tamto popołudnie, gdy po szkole planujemy swoją przygodę i pochylone nad stołem siedzimy pochłonięte rozmową, niezwykle skoncentrowane, niektóre z nas lekko przestraszone, natomiast Dina w euforii, gotowa na wielką wyprawę, na wielką próbę odwagi. Ojca pewnie tak rozbawił nasz widok, że uznał za stosowne przebrać swoją ukochaną pracę i pójść po aparat.

Ira była zbyt rozsądna, żeby coś takiego mogło jej przyjść do głowy, Nene zbyt ostrożna, nawet jeśli w szkole nie robiła

* Objaśnienia wybranych pojęć w *Słowniku pojęć* na s. 763–765.

niczego innego, tylko marzyła całymi godzinami – o wolności i wszystkim, co mogłaby z nią zrobić, ale przede wszystkim o miłości, przesadnie romantycznej, przelukrowanej, skażonej filmami, takiej, od której aż zapiera dech. Nie miałam w sobie nic z tych rzeczy, a jednak miotałam się pomiędzy pędem ku wolności, takim jak u Diny, rozsądkiem Iry i marzycielstwem Nene i dlatego już od samego początku przypadła mi w tej konstelacji rola rozjemczyni, mediatorce, tak jakby moim przeznaczeniem było dbać o równowagę w naszej przyjaźni.

To Dina ukuła ten plan, nasza polykaczka ognia, jak ją czasem nazywałam, dziewczyna z największą liczbą nagan w szkole, która każdą karę nakładaną przez dorosłych za przekraczanie granic przyjmowała z przymrużeniem oka. Nie obchodziły jej upomnienia, wywiadówki, na których matka była wystawiona na pogardliwe spojrzenia innych rodziców i musiała znosić niezadowolenie i ciężkie westchnienia wychowawczyń. Te kary pochodziły ze świata, który konsekwentnie dzielił ludzi na posłusznych i rebeliantów, na sprytnych i głupich, na dobrych i złych, na konformistów i outsiderów. W świecie Diny takie kategorie nie istniały. W jej świecie były tylko takie pojęcia jak „ekscytujący” i „nudny”, „ciekaw” i „nieciekaw”, „niezwykły” i „zwyčajny”. A jeśli ktoś chciałby ją naprawdę ukarać, powinien był dostosować się do jej kryteriów i znaleźć coś, co przystawało do jej kategorii. Na szczęście nikt z dorosłych nie miał, jak się zdaje, wstępu do jej świata, więc nikt nie mógł jej niczego zrobić. Fakt, że Dina skończyła szkołę ze względnie przyzwoitym świadectwem, należało, jak przypuszczam, zawdzięczać wyłącznie współczuciu, jakie dyrektorka okazywała matce Diny ze względu na fakt, że samotnie wychowuje swoje córki.

Nic nie mogło ujść uwadze tej dziewczyny, ciekawość była jej napędem, kompasem, którym niezawodnie się kierowała. Musiała poznać i zbadać wszystko, co rozpałało jej

wyobraźnię, co było obce i pociągające, każda granica istniała tylko po to, żeby ją przekraczać, a każda bariera – żeby ją przełamywać. Siła, jaka w niej wówczas wzbierała, była jak huragan, nie sposób było jej się oprzeć, porywała nas ze sobą niczym trąba powietrzna w dalekim Kansas, która przeniosła Dorotę i Toto do kraju Manczkinów – co ciekawe była to jedna z nielicznych powieści dla dzieci, której nie uznano u nas za „kapitalistyczny szmatławiec” i dzięki temu mogliśmy się z nią zapoznać.

Ale najmniej odporna na działanie huraganowej siły Diny byłam ja. Byłam najwierniejszym członkiem jej świty, najbardziej lojalną towarzyszką. Powędrowałabym za nią do każdej zaczarowanej krainy, choćby i do Oz, a nawet jeszcze dalej. Od dnia, gdy się poznałyśmy, niezwykle mnie do siebie przyciągała, zaraziła mnie swoją ciekawością, zachorowałam na nią. Nie to, żeby mnie samej brakowało energii lub ciekawości poznawczej albo żebym była szczególnie ułożona i posłuszna, co to, to nie, ja też miałam całkiem żywą wyobraźnię. Ale wyprawy badawcze Diny prowadziły znacznie dalej niż cel, do którego ja sama miałabym odwagę wyruszyć. Jak na przykład ta wyprawa do ogrodu botanicznego.

Śmiejąc się, pędziłyśmy przez tunel, światło latarki Diny migotało epileptycznie w ciemnościach, a nasze cienie tańczyły pokracznie na pokrytych wilgocią betonowych ścianach. Tunel uchodził wśród tbiliskich dzieci za optymalne tło wszelkich mrozących krew w żyłach opowieści, został podobno wybudowany podczas drugiej wojny światowej z przeznaczeniem na schron, gdy okazało się, że faszyci dotarli pod Elbrus. Wydawał się nieskończenie długi, ale przecież nasze gołe nogi już raz pokonały strach, a teraz echo naszych głosów odpowiadało nam i utwierdzało w przekonaniu o słuszności naszych zamiarów, grunt, to się nie zatrzymywać, żeby ciemność i przerażające odgłosy ponownie nie napędziły nam strachu. Nene była najbardziej podekscytowana i jednocześnie zdumiona

własną odwagą, co chwilę wybuchała piskliwym i zaraźliwym śmiechem, który rozchodził się po całym tunelu i zdawał się ożywiać tę bezkresną pustkę. Jej śmiech nas niósł, biegłyśmy coraz szybciej, coraz swobodniej, z poczuciem coraz większej wolności, aż zdyszane, spocone i dumne dotarłyśmy do wyjścia i wpadłyśmy w objęcia letniej ulewy.

Krople deszczu były tak wielkie, że nasze mundurki, fartuszki i włosy przemokły w mgnieniu oka, ale było ciepło, więc nic sobie z tego nie robiłyśmy, chroniły nas niespodziewanie gorący maj i własna odwaga. Nene padła na ziemię i próbowała złapać oddech. Ira pochyliła się i wsparła ręce na kolanach, a ja oparłam się plecami o mokre wyjście z tunelu i oddychałam głęboko. Ale Dina nie zatrzymywała się, jakby miała niewyczerpane zapasy tlenu, jakby jej płuca były stworzone do zawrotnych prędkości i niekończących się dróg. Rozpostarła szeroko ramiona i rzuciła się w morze deszczu, zieleni, ciepłego powietrza i muzyki wodospadu, docierającej już do naszych uszu.

– Chodźcie, jesteście prawie na miejscu, no, chodźcie wreszcie! – krzyczała do nas i przejechała światłem latarki po naszych twarzach.

– Zaczekaj, muszę chwilę... muszę chwilę... – Nene dyszała, a Ira kręciła głową, jakby po raz kolejny zdenerwował ją brak rozsądku u koleżanki, bo zdecydowała się tutaj przyjść, ignorując wszelkie niebezpieczeństwo.

Nasz cel stanowił mały wodospad znajdujący się pośrodku ogrodu. Jezioro u jego stóp było wystarczająco głębokie, żeby skakać do niego ze skały, dlatego latem w ciągu dnia można tam było obserwować chłopaków z sąsiedztwa wywijających po mistrzowsku salta. Do tej pory zawsze tylko przyglądałyśmy się im z zazdrością, bo albo byłyśmy w ogrodzie botanicznym z nauczycielami na szkolnej wycieczce, albo pani kasjerka pilnowała, żeby nikomu nic takiego nie strzeliło do głowy, gdyż mogłoby to ją kosztować posadę.

Gdy odzyskałyśmy oddech, ruszyłyśmy, tym razem raczej rozważnie, w kierunku wodospadu, przedzierając się przez gęsto porośnięty ogród oświetlany blaskiem księżyca. Deszcz spływał nam po twarzach, włosach, ubraniach i torbach, z każdym krokiem zostawiałyśmy za sobą jakby małą kałużę. Przed sobą widziałyśmy rozbłyskujące co chwilę światło latarki Diny, od czasu do czasu słychać było jej okrzyk radości, jakby wciąż namawiała nas, przekonywała do tego, żeby naprawdę zrobić jeszcze tych kilka ostatnich kroków do wspólnego celu i nie zawracać w ostatniej chwili. Ira wzięła Nene za rękę, bo ta nagle zaczęła wyglądać na zmęczoną i przestraszoną, jakby z chwilą, gdy wyszła z ciemnego tunelu, opuściła ją cała odwaga. Szły obok siebie jak dwie starsuszki. Sposób, w jaki Ira podtrzymywała Nene, niesamowicie mnie wzruszał – jak ona na nią uważała, patrzyła, żeby idąc na miękkich nogach, nie potknęła się, chroniła jej delikatne ręce, żeby nie zadrapała ich jakaś wystająca gałąź, zwracała uwagę na jej drobną różowawą zgrabną sylwetkę, skórę delikatną jak u niemowlaka, zarysowujące się już pod mundurkiem piersi; Ira i ja byłyśmy chyba ostatnimi płaskimi dziewczynami, natomiast Dina i Nene zaczęły się już zmieniać. Dina w ogóle się tym nie przejmowała, była zdumiewająco obojętna, za to Nene, ze swoim pięknym pszeniczożółtym warkoczem, wilgotnymi jasnoblękitnymi oczami, które stawały się jeszcze bardziej łzawe, gdy wpadała w sentymentalny nastrój, przyjmowała swoją przemianę z wyraźną dumą i cieszyła się, że wkrótce stanie się kobietą. Przystanęłam na chwilę, dałam się wyprzedzić, żeby móc je podziwiać, nie zakłócając ich bliskości. Doszłyśmy do polany, krzaki przeszły w kwiecistą łąkę, a po lewej stronie naszym oczom ukazało się małe jezioro, tworzone latami przez wodospad, słychać było nieprzerwany szum, a strumienie wody spadające z góry zatrzymywały się na dole, jakby zapuszczały tam korzenie.

Rozejrzałam się za Diną, jej latarka i plecak leżały na brzegu, ale po niej samej nie było śladu. Zawołałam ją, ale szum wodospadu mnie zagłuszył. Ira przyłączyła się do mnie. Wołałyśmy i wołałyśmy, aż nagle z góry dobiegł nas pisk Diny. Podniosłyśmy wzrok. Mimo deszczu i ciemności zdołała wdrapać się na skałę. Stała nad wodospadem, jakby właśnie udało się jej go ujarzmić, jak gdyby właśnie została niekwestionowaną władczynią tego miejsca.

– Jak ona się tam wdrapała? – wypaliła Nene, a Ira pokręciła znacząco głową.

Natomiast ja patrzyłam do góry i czułam spokój, bo wiedziałam, że jeśli jej się udało, to ja też dam radę, poza tym doprowadziła nas do celu, więc dopóki będzie w pobliżu, nie muszę się niczego bać.

– No chodźcie! – wrzasnęła, zakłócając nocną ciszę.

Zaczęłam zdejmować lepiące się do ciała ubranie, kompletnie przemoczone skarpetki i buty. W białych bawełnianych majtkach z napisem „Freitag”*, jednych z „tygodniowego zestawu”, które ojciec przywiózł mi kiedyś w prezencie ze swojej podróży na kongres w Warszawie czy Pradze, a może w Sofii, podniosłam bezsensownie świecącą latarkę i wcisnęłam ją Irze do ręki, poprosiłam, żeby mi oświećlała drogę, i przystąpiłam do wspinaczki w tych głupich majtkach, których napis nigdy nie pasował do właściwego dnia tygodnia.

Małe kamienie wbijały mi się w stopy, co było bolesne, ale ja miałam przed oczami tylko rozpostarte ramiona Diny, stojącej tam na górze i czekającej na mnie. Torowałam sobie jakoś drogę, przytrzymując się gałęzi albo wystających skał podciągałam się do góry. Kilka razy osunęłam się i wtedy serce zamierało mi ze strachu, ale szybko zbierałam się w sobie i dalej parlałam do góry. Strumień światła latarki tylko sporadycznie trafiał w te miejsca, w których akurat stawiałam

* Niem.: piątek (przyp. tłum.).

stopy. Czułam na sobie zaniepokojone spojrzenia Iry i Nene, siliłam się, żeby wyglądało tak, jakby wspinaczka przychodziła mi bez najmniejszego trudu. A potem zobaczyłam rękę Diny i chwyciłam ją uradowana. Podciągnęła mnie i po chwili stałyśmy obok siebie. Jeszcze podczas mojego wdrapywania się Dina zdjęła mundurek oraz buty i teraz, śmiejąc się, rzuciła wszystko na dół.

– Gotowa? – spytała i mocniej ścisnęła mnie za rękę.

Wyprostowałam się, stanęłam z nią ramię w ramię – małe sterczące piersi z niemal bezbarwnymi sutkami wyglądały jak jakieś obce ciała na jej tak poza tym dobrze znanym mi tułowiu. Skinęłam głową i zrobiłam krok do przodu. Nie patrzyłam w dół. Spojrzałam w górę. Niebo było czarne, ale rozpoznałam Wielki Wóz, o którym ojciec tak chętnie opowiadał mi różne historie. Gwiazdy zdawały się patrzeć przychylnie na nasze przedsięwzięcie. Pociągnęłam Dinę za rękę, poruszając palcami u stóp, przesunęłyśmy się po nierównej skale kawałek do przodu, ponownie spojrzałyśmy na siebie, jeszcze mocniej zacisnęłyśmy dłonie i wzbiliśmy się do góry, by po chwili runąć w dół.

Otrząsam się przestraszona, ktoś stuka mnie w ramię. Nawet nie usłyszałam, że idzie. Czuję się jak wyrwana z głębokiego snu. Przed sobą widzę zdjęcie, potrzebuję chwili, żeby oddzielić myśli od wspomnień: tak, to jest to popołudnie przed skokiem do wodospadu. Przed moim skokiem w wolność. Preludium do tego.

– Nie wierzę własnym oczom... Przyjechałaś!

Anano rzuca mi się na szyję, a ja do końca nie wiem, w której epoce zostałam przyłapana, czy może wiszę gdzieś pomiędzy czasami lub jestem we wszystkich równocześnie. Wygląda wspaniale. Taka szczęśliwa, promienna, w prostej granatowej letniej sukience, która równie dobrze mogłaby należeć do jej matki – ona i jej starsza córka bardzo często

nosiły te proste kopertowe sukienki i zawsze wyglądały w nich jak cesarzowe. W uszach ma duże złote kółka, na ustach trochę błyszczyku, proste baleriny na nogach, wokół oczu widać kilka drobnych zmarszczek mimicznych, w burzę brązowych włosów zaplatało się trochę siwizny, ale wciąż wygląda niezwykle słodko i powabnie, jest wiecznie młodą dziewczyną, a może to tylko mój punkt widzenia, może dla mnie już na zawsze zostanie młodszą siostrą Diny. W każdym razie jestem w tym momencie nią oczarowana, zastanawiam się, kiedy widziałam ją ostatni raz. Wiem, że wyszła za mąż za jakiegoś zamożnego faceta, który dorobił się w Gruzji na świetnie rozwijającej się branży budowlanej, i że ma dwoje dzieci, mieszka w jakimś domu na przedmieściach Tbilisi i zajmuje się ogrodem – tak przynajmniej mówiła mi przez telefon jej matka. Doskonale ją sobie wyobrażam w takiej scenerii, jako szczęśliwą kobietę, matkę, małżonkę wiodącą pogodne i beztrudne życie, otoczoną morzem kwiatów. Prowadzi galerię w mieście, wspiera młodych artystów i od kiedy matka nie ma już na to siły, opiekuje się spuścizną siostry. Anano, najjaśniejsza postać w całej rodzinie, największa optymistka, najmniej poobijana z nich wszystkich. Los podarował jej to, co odebrał innym członkom rodziny, a więc miłość, opiekę, możliwości, wiarę w przyszłość i sprawiedliwość. Ona to wszystko dostała: perspektywę, normalność i spokój.

Potrzebuję trochę czasu, żeby przyzwyczaić się do myśli, że to właśnie ona opiekuje się dorobkiem Diny, tą bezlitosną bielą i czernią dzieł siostry. Radykalność spojrzenia Diny i jej osobowości stanowią ogromny kontrast do łagodnej natury Anano. Ma w sobie dużo wycucia i intuicję, ale woli polegać na kuratorach, na ekspertach w tej dziedzinie i trzyma się dyskretnie na drugim planie. To także wiem od jej matki i w tym momencie naprawdę szczerze się cieszę, że ma teraz swoje pięć minut, które za chwilę obwieści dzwonek

i podczas których będzie odbierać wyrazy uznania w zastępstwie siostry. Chętnie zatrzymałabym ją w ramionach na dłużej, ale puszczam ją, widzę, że cieszy się z naszego spotkania nie mniej niż ja, stara się tłumić narastające w niej wzruszenie, sentymentalność, która tak bardzo odróżnia ją od siostry. Zatrzymuję jej dłoń w swojej.

– O Boże, nie wierzę! To niesamowite, że wszyscy spotykamy się akurat w Brukseli. Oblęd! Deda prosiła, żeby cię koniecznie ucałować. Na pewno słyszałaś, że akurat teraz, przed wystawą, złamała nogę i nie może tu być. A ta wystawa, Keto, mówię ci, to istne szaleństwo. Przygotowywaliśmy ją ponad dwa lata, jestem taka szczęśliwa, że w końcu udało się ją otworzyć. Co za ulga! Poprosiłam też Irę i Nene, żeby przyszły trochę wcześniej. Może zanim to wszystko oficjalnie ruszy, uda nam się trochę porozmawiać, ale nie wiem dokładnie, kiedy się zjawią. Poza tym później mamy wielkie party. Żeby mi żadnej z was nie przyszło do głowy zrywać się wcześniej. W ogrodzie będą naprawdę świetne drinki i muzyka. Myślę, że nie może tak być, że najpierw organizujemy jej retrospektywną wystawę, a potem nie chcemy tego uczcić tak, jakby jutra miało nie być...

– Tak, masz rację – odpowiadam i próbuję oprzeć się pokusie, by ponownie rzucić okiem na zdjęcie naszej czwórki.

Anano zauważyła to i się śmieje.

– Czyż nie jest urocze? Długo się nad tym zastanawiałam, które z waszych zdjęć powinnam wziąć, i wtedy... Uważam, że ta fotografia wspaniale oddaje waszą czwórkę, tak mi się wydaje.

– Zrobił je mój ojciec. Wiesz, to był szczególny dzień... Skąd je masz?

– No, od ciebie, chyba dałaś je kiedyś Dinie.

Ale zanim jestem w stanie cokolwiek z siebie wydusić, wykrzykuje rozentuzjasmowana, że musi mnie koniecznie

przedstawić kuratorom wystawy, i ciągnie mnie za rękę przez wielką halę, która powoli zaczyna wypełniać się gośćmi.

Zbliżamy się do wysokiej Gruzinki w czarnym eleganckim kombinezonie i do niepozornego mężczyzny z lekką łysiną, w okularach w rogowej oprawce. Witają się ze mną z przesadną serdecznością.

– Keto Kipiani we własnej osobie! – woła po angielsku przysadzisty mężczyzna i wyciąga do mnie rękę.

Gruzinka wita mnie po gruzińsku i całuje lekkim muśnięciem w oba policzki.

– A więc teraz możemy zobaczyć panią na żywo, ale trzeba przyznać, że dzięki tym licznym zdjęciom pani i koleżanek ma się wrażenie, że już się was trochę zna – dodaje Gruzinka, tym razem po angielsku.

– No właśnie! – potwierdza mężczyzna.

– To Thea i Mark, bohaterowie tej retrospektywy – wyjaśnia Anano, szeroko się uśmiechając. – Mark jest uznanym na świecie specjalistą od fotografii i dyrektorem Muzeum Fotografii w Rotterdamie, a Thea renomowaną historyczką sztuki, specjalistką od Europy Wschodniej. Powołała do życia wspólnie Festiwal Fotografii w Tbilisi, musisz to koniecznie zobaczyć.

Anano wczuwa się w rolę gospodyni i najwyraźniej dba o to, by każdy czuł się co najmniej tak dobrze jak ona. Uśmiecham się nieco zakłopotana i potakuję uprzejmie głową. To zdanie wypowiedziane przez Gruzinkę wzmacnia moją czujność: „...dzięki tym licznym zdjęciom pani i koleżanek ma się wrażenie, że już się was trochę zna...”.

To jasne, cała nasza czwórka jest tu wyeksponowana aż nadto. Muszę się przygotować na spotkanie z niezliczonymi odcieniami samej siebie, kolejnymi stadiami własnego rozwoju. Muszę się przygotować na objęcia przeszłości. Muszę się przygotować na spojrzenia w nieme oczy umarłych.

ROK 1987. Związek Radziecki trzęsie się w posadach. W Gruzji coraz wyraźniej słychać głosy nawołujące do niepodległości. W zmieniającym się, ogarniętym chaosem, ale też tętniącym życiem Tbilisi dorastają cztery przyjaciółki: spragniona wolności, pełna życia Dina, rozsądna i pragmatyczna Ira, romantyczna Nene, siostrzenica najpotężniejszego przestępcy w mieście, oraz wrażliwa, wychowująca się bez matki Keto. Różni je niemal wszystko, łączą marzenia o miłości, akceptacji i lepszym życiu.

W czasie burzliwych zmian politycznych i społecznych przyjaciółki dojrzewają, stają się kobietami, przeżywają pierwsze zauroczenia, muszą dokonywać trudnych wyborów. Ich przyjaźń wydaje się niezniszczalna – aż do dramatycznych wydarzeń, które na zawsze odmieniają ich życie...

Coraz mniej światła rozmachem i konstrukcją przypomina *Genialną przyjaciółkę* Eleny Ferrante. Akcja powieści rozgrywa się w postsowieckiej Gruzji, w świecie, w którym przemoc jest na porządku dziennym, a błędnie pojmowany honor może doprowadzić do tragedii. Haratischwili raz jeszcze napisała książkę, od której nie sposób się oderwać.

Marta Górna, „Gazeta Wyborcza”

Cztery przyjaciółki z Tbilisi, które dorastały w poczuciu straty i w cieniu niespokojnej historii młodej Gruzji, zostały ze mną jeszcze długo po skończonej lekturze. Tak bardzo chciałabym, żeby im się udało...

Dominika Gauza, blog Prosto o książkach

Nino Haratischwili wraca w wielkim stylu. Łączy precyzyjnie skonstruowany dramat, przenikliwą psychologię z fantastycznym talentem do opowiadania i oferuje nam piękną, a zarazem okrutną historię o straconym pokoleniu gruzińskiej niepodległości.

Kobiety, które przeżyły ten czas, mówią o otchłani, w którą mężczyźni pchnęli cały kraj, o świecie, w którym wszyscy byli zdrajcami i zdrażzanymi jednocześnie.

Hipnotyzujące i nieodkładalne. Haratischwili jest czarodziejką opowieści.

Marcin Meller



Cena detal. 69,99 zł

E-book dostępny na
woblink.com


WYDAWNICTWO
OTWARTE